

My
na
księżycu

Alice Kellen

My
na
księżycu

TŁUMACZYŁA
ALEKSANDRA WIKTOROWSKA

must read

Tytuł oryginału NOSOTROS EN LA LUNA

Copyright © 2020 by Alice Kellen

Author represented by Editabundo Agencia Literaria S.L.

and by Book & Film Rights, Grupo Planeta – agent for the Foreign
and Audiovisual Rights by special agreement with Book/Lab
Literary Agency, Poland

Copyright © 2020 by Editorial Planeta, S.A.

Copyright © 2024 for this translation by Media Rodzina Sp. z o.o.

Projekt okładki Lookatcia.com

Skład i łamanie Andrzej Komendziński

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8265-519-3

Must Read jest imprintem wydawnictwa

Media Rodzina Sp. z o.o.

ul. Pasieka 24

61-657 Poznań

tel. 61 827 08 50

wydawnictwo@mediarodzina.pl

Druk Abedik

Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich. Prawo autorskie pobudza różnorodność, napędza kreatywność, promuje wolność słowa, przyczynia się do tworzenia żywej kultury. Dziękujemy, że przestrzegasz praw autorskich, nabywasz książki legalnie i nie udostępniasz ich publicznie, np. w Internecie. Dziękujemy za to, że w ten sposób wspierasz autorów i pozwalasz wydawcom nadal publikować ich książki.

Dla Leo

*Obys któregoś dnia zwiesił się z księżycy,
głową w dół, z ogromnym uśmiechem, bez strachu*

Tak jakby w miłości mogło się wybierać, tak
jakby to nie był piorun, który strzela w ciebie
i zostawia cię zwęglonego na środku patio.

JULIO CORTÁZAR, *Gra w klasy*,
przeł. Zofia Chądzyńska

So wake me up when it's all over
When I'm wiser and I'm older
All this time I was finding myself, and I
Didn't know I was lost.

AVICII, *Wake Me Up*

Część pierwsza

*Spotkanie
Przyjaźń
Przypadek*

Ale nim baobaby staną się drzewami, są malutkie.

ANTOINE DE SAINT-EXUPÉRY, *Mały Księżę*
przeł. Jan Szwykowski

1. Ginger

NIE MOŻNA PRZEWIDZIEĆ, KIEDY POZNASZ TĘ OSOBĘ, która w jednej chwili postawi twój świat na głowie. Tak się po prostu przytrafia. W ułamku sekundy. Jak kiedy pęka bańka mydlana. Albo z sykiem zapala się zapałka. Przez całe życie mijamy tysiące ludzi: w supermarkecie, w autobusie, w kawiarni czy na ulicy. I może właśnie ta osoba, która ma zatrząść twoim światem, stanie obok ciebie na przejściu dla pieszych albo zwinie ci sprzed nosa ostatnie pudełko płatków śniadaniowych, kiedy będziesz robić zakupy. Może nigdy jej nie poznasz i nie zamienicie ze sobą ani słowa. A może tak. Może się spotkacie, wpadniecie na siebie, zaczniecie rozmowę. Nie sposób tego przewidzieć i chyba właśnie w tym tkwi magia. W moim przypadku zdarzyło się to pewnej mroźnej nocy w Paryżu, kiedy usiłowałam kupić bilet na metro.

– Dlaczego nie działasz? – Zajęczałam przed automatem. Wcisnęłam guzik tak mocno, że aż zabolął mnie palec. – Cholerne bezużyteczne ustrojstwo!

– Próbujesz zamordować ten automat?

Odrzuciłam się na dźwięk głosu w moim języku.

I wówczas go zobaczyłam. Sama nie wiem. Nie wiem, co wtedy poczułam. Nie zachowałam w pamięci tego momentu tak dokładnie, ale zapamiętałam trzy detale: miał postawiony kołnierz skórzanej kurtki, pachniał miętową gumą

do zucia, a jego oczy były w szarym odcieniu niebieskiego i przypominały niebo nad Londynem jednego z tych ołowianych poranków, kiedy słońce na próżno usiłuje przedrzeć się przez chmury.

I już. To wszystko. Nie potrzebowałam niczego więcej, żeby poczuć delikatne łaskotanie.

– Wierz mi, chciałabym, ale na razie ma przewagę. Nie działa.

– Najpierw musisz wybrać rodzaj biletu.

– Słucham?... Gdzie niby powinnam go wybrać?

– Zaraz na początku. Poczekaj.

Stał obok. Nacisnął guzik, żeby wrócić do głównego menu, po czym na mnie popatrzył. Wymownie. A przynajmniej tak mi się zdawało. Jak gdybym wzbudziła w nim ciekawość, choć nie umiał powiedzieć dlaczego. Albo jak gdyby nagle przeszedł go dreszcz.

– Dokąd chcesz jechać? – zapytał.

– Yyy... tak naprawdę to... – Zdenerwowana założyłam za ucho kosmyk włosów, który wyswobodził się z kucyka. – Do centrum?

– Nie jesteś pewna?

– Nie! Tak! Chodzi o to, że nie mam na dzisiaj noclegu i pomyślałam, wiesz, wykorzystać okazję i zwiedzić miasto. Co byś mi polecił?

Oparł się ramieniem o automat i z zaciekawieniem uniósł brwi.

– Nie masz noclegu? – Zainteresował się.

– Nie. Wsiadłam w pierwszy lepszy samolot, który akurat wylatywał.

– W sensie na wariata?

– Właśnie. Dokładnie tak.

- I podróżujesz sama...
- W czym problem?
- W niczym. Ja też tak robię.
- Super, gratuluję. Jeśli chodzi o bilet...
- Jak się nazywasz? – zapytał.
- Ginger. A ty?
- Rhys.

Mówił z silnym amerykańskim akcentem. I był tak wysoki, że czułam się przy nim małeńka. Ale miał w sobie to „coś”. To „coś”, czego często nie da się opisać za pomocą słów. I nie dlatego, że był wyjątkowo przystojny albo że ja czułam się akurat zagubiona w mieście, w którym właśnie się znalazłam. Ale dlatego, że potrafiłam wyczytać w nim różne rzeczy. Nie byłam jeszcze do końca pewna, czy były dobre, czy złe, ale kiedy tak na niego patrzyłam, ostatnim słowem przychodzącym mi do głowy była „pustka”, co zresztą, o ironio, jak miałam się później przekonać, było dokładnie tym, czego Rhys najbardziej się bał. Ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam. Byliśmy dwojgiem nieznajomych patrzących sobie w oczy przed automatem z biletami.

- Masz dla mnie jakąś rekomendację? – naciskałam.

Zobaczyłam, że się waha, choć nie odrywał ode mnie wzroku.

- Jedną. Mógłbym pokazać ci Paryż.
- Okej, zanim zrobi się zupełnie niezręcznie, muszę ci wyznać, że właśnie rzuciłam chłopaka. To był długi związek, więc nikogo na razie nie szukam ani nie interesują mnie przygody na jedną noc...

Szkoda, że nikt w tym momencie nie ostrzegł mnie, że robię z siebie koncertową idiotkę.

- Zapropnowałem ci tour po mieście, nie po moim łóżku.

Skrzyżował ręce na piersi i uśmiechnął się drwiąco. A ja oblałam się rumieńcem, jakbym miała piętnaście lat.

– Jasne, mówię tak na wszelki wypadek...

– Jesteś bardzo zapobiegliwa.

– Jestem. Staram się być. Tak naprawdę w tej chwili moja zapobiegliwość jest bliska zeru, ale ze wszystkich sił próbuję... uporządkować jakoś swoje życie.

Rhys nie wydawał się przestraszony tym istnym szaleństwem. I to powinno dać mi do myślenia, natychmiast zorientować się, że jest inny. To był kluczowy moment, ja nic tylko mówiłam bez ustanku, co zdarzało się zawsze, kiedy się denerwowałam, a on słuchał, uśmiechał się i przytakiwał.

– Teraz wszystko pogrążyło się nieco w zamęcie, sam rozumiesz. Cała ta sytuacja. Moje życie. Choć może to, że utknęłam w sercu miasta, w którym nigdy wcześniej nie byłam, jest niemal symboliczne i najlepiej obrazuje to, jak właśnie się czuję. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego jeszcze nie uciekłeś.

– Lubię ludzi, którzy dużo mówią.

– Ty z kolei cierpisz na mutyzm?

– Chyba tak. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

To akurat było kłamstwem. Bo jak później miałam odkryć, Rhys był świetnym rozmówcą. Należał do osób, które zawsze zadają nieoczywiste pytania i mógł nie zmrużyć oka przez całą noc, roztrzaskając jakąkolwiek błahostkę, ani przez chwilę się przy tym nie nudząc.

– Rzecz w tym, że lot powrotny mam dopiero rano.

Przez kilka sekund wpatrywał się we mnie z zainteresowaniem, trochę spięty.

– To jak? Chcesz tę wycieczkę po mieście czy nie, Ginger? Pamiętam, że w tym momencie pomyślałam tylko: „Dla-

czego wymawia moje imię w ten sposób? Dlaczego mówi je tak, jakby już wielokrotnie się do mnie zwracał?”. Przestraszyło mnie to i spodobało mi się w równym stopniu. Kłamię. Ta druga opcja przeważała szalę. Dlatego że wyartykułował je niemal z czułością, a ja nigdy nie lubiłam swojego imienia, bo, spójrzmy prawdzie w oczy, „imbir” nie brzmi ani specjalnie mistycznie, ani romantycznie, ale w ustach Rhysa zabrzmiało inaczej. Lepiej.

– Nie znam cię – stwierdziłam.

– Wszyscy jesteśmy nieznajomymi, dopóki się nie poznamy.

– Jasne, ale... – Oblizalam usta, zdenerwowana.

– W porządku, jak sobie chcesz. – Wzruszył ramionami.

Potem życzył mi udanej podróży, zwracając się do kołnierza własnej kurtki, wykonał pół obrotu, po czym ruszył w stronę tunelu prowadzącego na powierzchnię.

Zastanowiłam się nad swoją sytuacją. Przyjechałam do Paryża, bo dopiero co rozstałam się z chłopakiem, i kupienie pierwszego lepszego biletu, choćbym miała wracać za kilka godzin, bez noclegu i jedynie z plecakiem na plecach, a w nim parą majtek i skarpetek na zmianę oraz krakersami (mówię poważnie), wydało mi się odpowiednio buntowniczym i szalonym pomysłem. Ale mówiąc zupełnie szczerze, nie wiedziałam, dokąd iść. I nie potrafiłam zbagatelizować tego delikatnego łaskotania, które poczułam na dźwięk jego głosu.

I sama nie wiem. To był impuls. Silne szarpnięcie.

– Zaczekaj! – Zatrzymał się. – Dokąd idziemy?

– Idziemy? – Odwrócił się w moją stronę.

– Wiem, że minutę temu mówiłam, że cię nie znam, ale jeśli teraz odejdiesz..., będę musiała pójść za tobą. – Rhys

uniósł brew i spojrzał na mnie osłupiały. – Chodzi mi o to, że, no właśnie, nie wiem, gdzie jestem i skończył mi się internet w komórce przez tę głupią ofertę, którą wcisnęła mi telemarketerka, i ...czuję, że jeśli zostanę sama, to w końcu zeżre mnie jakiś niedźwiedź albo cokolwiek przydarza się w miastach, kiedy ktoś się zgubi. Wiesz, co mam na myśli.

– Nie wiem, co masz na myśli. – Uśmiechnął się.

– Okej. Tylko... mnie nie zostawiaj.

– Okej. Tylko... daj się prowadzić.

Przytaknęłam zdecydowana, a on wybuchnął śmiechem. I ruszyłam jego śladem. Szłam za nim i nie zastanawiałam się już nad niczym więcej, kupiliśmy dwa bilety i teraz wypychaliśmy się do zatłoczonego wagonu metra, pierwszego, które przyjechało.

Wówczas nie wiedziałam jeszcze, że moje życie się zmieni.

Że Rhys stanie się cezurą, że będzie już tylko przed i po.

Że nasze drogi połączą się na zawsze.

2. Rhys

CO JA WŁAŚCIWIE ROBIŁEM? NIE MIAŁEM POJĘCIA.

Dziesięć minut wcześniej wysiadałem z metra, gotów iść do domu (jeśli w ogóle mogłem nazwać domem jakiekolwiek miejsce), miałem odgrzać sobie gotowy makaron po chińsku i zjeść go prosto z pudełka przed telewizorem albo czytając obojętnie co, przy muzyce.